

— Zginęli wszyscy — powiedział.

Nastąpiła długa, bardzo długa cisza, w której dało się słyszeć tylko tłumiony skowyt Ester. Następnie Montserrat otworzyła usta.

— *No es verdad*, to nieprawda — odpowiedziała ze spokojnym uśmiechem.

— Utonęli w morzu. Na moich oczach.

— *No es verdad* — powtórzyła wciąż z tym samym opanowanym wyrazem twarzy. —

Popłynęli do Gibraltaru na „Santa Speranza”, a z Gibraltaru do Ameryki. Teraz są w Charlestonie albo w Savannah.

— Do Ameryki nigdy nie dopłynęli, Montserrat. Ani do Gibraltaru. „Santa Speranza” zatonała w Zatoce Liońskiej.

— Jeśli utonęła, a wy jesteście tutaj, to znaczy że są także oni. Zatem niedługo ich zobaczę — odpowiedziała niewzruszona.

I podśpiewując *siete-platos-siete*, położyła siedem talerzy na stole i zaczęła na nich czekać. Głucha na łkania Ester i na błagania męża Montserrat, nie-robcie-mi-tego, nie-robcie-mi-tego, czekała na synów przez cały dzień i noc, ze wzrokiem utkwionym w próżni i spokojnym uśmiechem przyklejonym do ust. Otrząsnęła się o świcie. Bardziej spokojna niż kiedykolwiek przedtem, posprzątała ze stołu, położyła się, zasnęła, i kiedy tylko wstała, od razu nakryła do stołu. I znowu śpiewając *siete-platos-siete*, położyła siedem talerzy na stole i znowu zaczęła na nich czekać. I wieczorem to samo. I nazajutrz. Następnego dnia nawet prześcieliła łóżka w pokojach Raffaele i Gabriele, Emanuele i Daniele, wyprała i wyprasowała ubrania, które pozostawili, ugotowała dla nich wystawną kolację z ich ulubionymi daniami. To samo w kolejne dni. Było tak, jak gdyby odrzucenie śmierci tej czwórki cofnęło zegar pamięci, by zaprowadzić jego wskazówkę do czasu, w którym ze schodów dobiegał radosny gwar „Wróciliśmy, mama”, a jej chłopaczyska wdzierały się do domu, napełniając go wesołością. Niemal błogi obłęd, wytrwały i coraz bardziej oderwany od rzeczywistości. Albowiem stopniowo jej podświadomość wykluczyła, a wręcz pogrzebała wszelkie wspomnienia, jakie mogłyby doprowadzić do słów „Zginęli wszyscy czterej”. Wspomnienie napoleońskich orędzi, poboru obejmującego dwudziestolatków i dziewiętnastolatków, wejścia na pokład „Santa Speranza”, ucieczki do Gibraltaru, pożegnania na nabrzeżu.

I kiedy obłęd rodził miraże, w jej biednym i chorym mózgu przybierające materialną wręcz postać, przeprowadziła się do życia, w którym miała pewność, że Raffaele, Gabriele, Emanuele i Daniele nigdy nie odpłynęli. Zaczęła widywać ich w domu, czyli zachowywać się tak, jak gdyby z nią byli. Na przykład nakładała dania na talerze i nie dostrzegając, że pozostawały nietknięte, ani tego, że Ester wyrzucała je na śmieci, patrzyła, jak jedzą. Mówiła do nich. Weźcie-jeszcze-trochę-kurczaka, podajcie-mi-soli. Pewnej nocy poszła, żeby upewnić się, że dobrze śpią. Nad każdym łóżkiem pochyliła się, by pogłaskać nieistniejącą twarz, a potem zawołała: „Co za radość mieć ich tak blisko. Muszę chyba zanieść jakieś wotum Madonnie z Montenero, żeby się jej wywdzięczyc”.

Nie widziała tylko Michele. Albo widziała, lecz nie rozpoznawała.

„A ty, brzdącu, kim jesteś? Co ci się stało z plecami?” I na nic się zdały jego rozpacz i protest: „To ja, mamó, wasz Michele!

Nie pamiętacie, że jestem garbaty?”. Wreszcie Francesco wezwał lekarza. Spytał, co może zrobić, i wśród wielu rozterek byłoby- lepiej-gdybyście-jej-nie-zaprzeczałi, byłoby-lepiej-pozwolić-jej-wierzyć-w-to-w-co-chce-wierzyć, doktor pozwolił powiedzieć jej, że czterej synowie wyjechali. „Ale ostrożnie, bardzo o to proszę, delikatnie. I żadnych szczegółów, które sprzyjałyby nagłym myślom, nieoczekiwanym reminiscencjom. Gwałtowne doprowadzenie jej do rzeczywistości mogłoby okazać się bardzo, ale to bardzo niebezpieczne”. I tak nadszedł dzień, gdy zauważyła wreszcie, że jedzenie z czterech talerzy trafiło do kosza, i zaskoczona uniosła twarz.

— ¡Virgen Santa! Dlaczego to wyrzucacie?

— Bo nie jedzą — odpowiedział Francesco.

— A dlaczego nie jedzą?

— Bo ich nie ma.

— A dlaczego ich nie ma?

— Bo wyjechali.

— A dlaczego wyjechali?

— Bo ich posłałem do Ameryki — rzucił Francesco, zapominając, co lekarz powiedział mu odnośnie szczegółów, które sprzyjały nagłym myślom lub niespodziewanym wspomnieniom. I nagle ten biedny chory umysł rozblęsnął płomyczkiem światła, niemal świecielkiem świecy, która szuka bezwiednie tego, czego szuka.

— Do Ameryki...

— Tak. Przez Gibraltar, na „Santa Speranza” — uściślił Francesco.

I wówczas świeczka rozjaśniła kryjówkę, w której podświadomość pogrzebała wspomnienie pożegnania na nabrzeżu. Wspomnienie mętne, niepewne i oderwane od słów wszyscy-czterej-nie-żyją. A jednak wystarczające, by przekonać ją, że owszem, wyjechali.

— Macie rację... A jednak to dziwne, że nigdy nie napisali z tego Gibraltaru. Chyba że przekazali list kapitanowi. Kiedy wraca „Santa Speranza”?

— Nie wiem, Montserrat.

— Jutro pójde do portu i zapytam.

Ach, Francesco wprost stawał na głowie, żeby jej w tym przeszkodzić. Przypomnił jej, że okręty nigdy nie wracają o wyznaczonej porze, więc nikt nie mógłby udzielić jej takich informacji. Zamknął ją w pałacyku, całymi tygodniami nie opuszczał nawet na minutę, próbował odciągnąć ją od tego pomysłu. Ale nie zdołał.

Któregoś popołudnia musiał wyjść i powierzył ją Ester. „Nie pozwólcie jej wyjść, nawet gdyby dom stanął w płomieniach”.

Lecz Ester, odciągnięta gdzieś przez Michele, na chwilę straciła ją z oczu i Montserrat wyszła. I skierowała swe kroki do portu.

— Kiedy wraca „Santa Speranza”?

I trafiła na kogoś, kto lubił mówić bez ogródek.

— „Santa Speranza”? Droga pani, w jakim wy świecie żyjecie?! „Santa Speranza” zatonała w styczniu w drodze na Gibraltar. Wszyscy zginęli oprócz bosmana. Włącznie z czterema braćmi Launaro, z pani synami. Nie wiedzieliście o tym?

Fragment powieści „Kapelusz cały w czereśniach” Oriany Fallaci. Przeł. Jarosław Mikołajewski i Monika Woźniak. Wydawnictwo Literackie, 20 września 2012 r.